NUMER POJEDYŃCZY 10 K.

ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY



REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 226-83 i 152-05.

№ 31
WARSZAWA
DNIA 21 LIPCA 1912 R.

W przeddzień 1812 roku.

Jednym z ostatnich i najciekawszych epizodów tej długiej walki, w której przebiegłość i oszukaństwo odgrywały wyłączną rolę, była komedja odgrywana przez Napoleona, wiosną 1812-go roku, z Kurakinem, rosyjskim posłem w Paryżu. Po zawarciu przymierza ze Szwecją, Aleksander, uczuwszy pewniejszy grunt pod nogami, postanowił w d. 8-ym kwietnia posłać Napoleonowi coś w rodzaju ultimatum. Za warunek przywrócenia dobrych stosunków pomiędzy Rosją i Francją postawił zupełną ewakuację Prus, Szwedzkiego Pomorza i t. d. Dopiero po zadośćuczynieniu tym żądaniom może być mowa o dalszych układach i sposobach porozumienia się w sprawach handlowych i w kwestji odszkodowania księcia Oldenburskiego. Książe Kurakin otrzymał polecenie doręczenia rządowi francuskiemu owego ultimatum. Jego Mości Księciu Panu nie często zdarzało się wypełniać missje tak poważnej natury. Był to zgoła osobliwy poseł, jaknajgorzej poinformowany o zamiarach swego mocodawcy. Trzymano go w Paryżu, jako osobistość zupełnie nieszkodliwą i wręcz niezdolną do budzenia podejrzeń o chęć knowania jakichkolwiek intryg, a rzeczywistymi agentami rządu rosyjskiego w stolicy Francji byli hrabiowie Nesselrode i Czernyszew, obdarzeni bogatszemi zasobami umysłowości. Podają jaskrawy choć nieco karykaturalny portret owego „posła od parady“ „urzędowanie swe ograniczał on jeno do ścisłego obserwowania zewnętrznych uroczystych funkcji swojej misji i nieustannie zabawiał publiczność paryską przepychem, dochodzącym do śmieszności, uganianiem się za drobiazgowemi wymaganiami etykiety, kolosalną i naiwną próżnością... Kiedy otrzymał krótki urlop od dręczącej go nieodmiennie podagry, urządzał wspaniałe przyjęcia i bale, grał rolę mecenasa literatury i sztuk pięknych, odwiedzał pracownie artystów, bywał w *Komedji Francuskiej* i debatował nad różnicą, zachodzącą pomiędzy grą m-lles Bourgoine i Volney w jednej i tejsamej roli. Gospodarowanie w poselstwie zajmowało mu cały czas pozostały; zarządzał rosyjską misją, jak rodziną, obchodząc się z podwładnymi, to bez ceremonji, to łaskawie po ojcowsku; nieodmiennie kładąc nacisk na wymagania moralności, a świecąc jaknajgorszym w sprawie tej przykładem, surowo urągając młodym sekretarzom ambasady, którzy nie umieli się oprzeć paryskim pokusom, a w końcu, płacąc ich długi“.

Ultimatum z d. 8-go kwietnia zostało przywiezione do Paryża przez Sierdobiła, jednego z mnogich nielegalnych synów księcia Kurakina. Rodziciel, dumny z takiej nadzwyczajnej misji swego potomka, przybrał się i przystroił jak tylko umiał najkraśniej i udał się do księcia Bassano, ministra spraw zewnętrznych. W dniu 27 kwietnia przyjął ambasadora w Saint Cloud sam cesarz Napoleon, do głębi rozdrażniony żądaniem, które mu się wydawało obrazą osobistą. Obawiając się jednak, by cesarz Aleksander nie przeszedł Niemna i nie rozpoczął wojny zaczepnej, postanowił nie odstępować od swej metody, pragnąc uzyskać jeszcze parę tygodni, by móc zakończyć przygotowania. Podawszy tedy Kurakinowi nieokreśloną nadzieję, która pozwalała mu mniemać, że żądania Aleksandra uzyskają aprobatę Napoleona, cesarz łaskawie go pożegnał i, rozkazawszy Narbonne'owi udać się natychmiast do Wilna, dla wprowadzenia bezpośrednich rokowań z Aleksandrem, polecił księciu Bassano zająć się Kurakinem. I wtedy rozpoczęła się istna gra w *chowanego* — cały szereg komicznych, a jednocześnie dla Kurakina smutnych przygód tego ostatniego.

Wytęża on wszystkie siły, starając się o otrzymanie odpowiedzi na notę z d. 8-go kwietnia, ale w żaden sposób nie udaje mu się odszukać ministra spraw zagranicznych. A kiedy po całem szeregu nieudanych usi-

łowań, posłowi rosyjskiemu udaje się wreszcie otrzymać posłuchanie u ks. Bassano, ten wymyśla tysiące sposobów, z których jeden jest lepszy od drugiego, a wszystkie mają na celu otumanienie Kurakina. Ostatecznie książe Bassano żąda od księcia Kurakina opracowania projektu konwencji; ów wybiera i temperuje swoje najlepsze gęsie pióro, wypracowuje w pocie czoła żądany elaborat i, dumny z dokonania tego dzieła, jedzie do księcia. Ale niestety, minister spraw zagranicznych znowu gdzieś znikł bez śladu. Doprowadzony do ostateczności Kurakin oburza się, wystosowuje stosowną epistołę do księcia Bassano i prosi o wydanie mu paszportów. Pan minister spraw zagranicznych uroczyście przyjmuje ambasadora, schlebia mu na wszelkie sposoby, zaklina go na wszystkie świętości, odtwarza przed jego rozgorączkowaną wyobraźnią wszystkie zgubne następstwa takiego postępku, który musi doprowadzić do wkroczenia na dziejową arenę demona wojny; prosi rosyjskiego ambasadora o rozważenie tego kroku, o zastanowienie się nad tem *„jak ciężką odpowiedzialnością chce on obciążyć swe sumienie, jakimi wyrzutami będą miały prawo zasypać go: cesarz, ojczyzna, Europa i cała ludzkość“*. Dobroduszny poseł poczyna ulegać wzruszeniu i łzy rzucają mu się z oczu. Ale usiłuje opanować je i znowu domaga się albo odpowiedzi, albo też wydania paszportów. Wtedy Bassano decyduje się na rozpoczęcie układów. Lecz cóż? okazuje się wówczas, że naprzód trzeba dopełnić nieuniknionej formalności,—a mianowicie zamienić pełnomocnictwa do układów. On, pan minister spraw zagranicznych posiada je naturalnie tuż pod ręką i uprzejmie prosi księcia Kurakina o przedstawienie mu jego pełnomocnictw. I oto niefortunny ambasador wpada w sytuację bez wyjścia: nie rozporządza żądanymi dokumentami. Napróżno usiłuje on skłonić księcia Bassano do prowadzenia, pomimo to, układów; zaręcza, że je sam stwierdzi swoim podpisem i że rząd rosyjski niewątpliwie wyrazi na nie zupełną zgodę; pan minister spraw zagranicznych, będąc niepoprawnym formalistą, stanowczo odmawia i Kurakin znowu żąda wydania mu paszportów. Książe Bassano obiecuje przygotować je na dzień następny, ale nazajutrz pana ministra spraw zagranicznych znowu niema w domu; znikł bez śladu, jak ryba w wodę; powiadają, że podobno pojechał po specjalne instrukcje do Drezna do Napoleona. Niefortunny ambasador nie może się doczekać ani cesarza, ani jego ministra, ani odpowiedzi, ani paszportów i nie pozostaje mu nic innego jak, oddaliwszy się do Saint Cloud, w skrytości gorzko opłakiwać nieudane swe posłannictwo.



Cesarz Aleksander I.

A tymczasem Napoleon dopiął swego celu: zyskał znacznie na czasie i, nie niepokojony przez nikogo, doczekał się wreszcie szczęśliwie z góry wyznaczonego na rozpoczęcie wojny. „W dążeniu do tego celu — nie powstrzymywały go żadne wyrzuty sumienia; przebiegłość, układność, gwałt, przejawy despotyzmu, wyrafinowana dwulicowość—wszystkie te środki były dla niego równie dobre. Jeszcze nigdy skomplikowana gra dyplomatyczna, ze wszystkimi jej wykrętami, nie zawierała bardziej ścisłego sojuszu z polityką gwałtu, która jeszcze raz usiłowała podjąć na równe nogi całą Europę i przerobić jej mapy stosownie do swojego widzimisię.

W maju 1812-go roku zastajemy Napoleona w Dreźnie. Już to po raz wtóry upija się on potęgą swej władzy w Niemczech: pierwszy jego tryumf miał miejsce w Erfurcie, podczas spotkania się z cesarzem Aleksandrem. Wtedy zwierzchnik i opiekun Związku Reńskiego chciał odegrać przed niemcami rolę znawcy ich piśmiennictwa i bacznego obserwatora ich rozwoju umysłowego. Naród poetów i myślicieli winien się był przekonać, że zwycięzca z pod Jeny i Auerstädtu włada zarówno doskonale i orężem ducha. Urządzał wtedy między Göthem i starcem Wielandem literackie turnieje w sprawach natury estetycznej, usiłując dowieść przy tej sposobności, że sam jest znawcą teorji piśmiennictwa, że posiada dostateczne wiadomości z zakresu filozofji i że umie chrześcijaństwu wyznaczyć miejsce należne mu w dziejach rozwoju ludzkości. Twórca *Werthera* usłyszał wtedy między innemi zgoła nie dwuznaczną propozycję wyśpiewania Juljusza Cezara i wyjaśnienia całemu światu, jakie usługi mógłby był wyświadczyć ludzkości pogromca republikańskiego Rzymu, gdyby go nie był przedwcześnie uśmiercił sztylet mordercy. To miało miejsce w Erfurcie. W Dreźnie było zgoła co innego: Napoleon zaprosił do tego miasta nie poetów i nie uczonych, lecz wassalów, którzy winni byli złożyć czołobitność swemu suzerenowi i asystować przy pouczającym widowisku, łamania szpady przez władcę połowy świata, nad głową buntowniczego monarchy, który nie zechciał się poddać jego wymaganiom.

Król saski musiał w odpowiedni sposób przygotować rezydencję swą na przyjęcie wysokiego gościa. Byłby się poczytywał za najszczęśliwszego ze śmiertelników, gdyby przyjemność ta była go kosztowała jeno paręset tysięcy talarów; ale cesarz nie zechciał ściśle określić czasu swego przybycia i niefortunny król musiał przejść całą gorączkę niepewnego oczekiwania. Przyśpieszył wyjazd swój do Freiberga na spotkanie

Napoleona i tam zaledwie ośmielił się położyć się na noc do łóżka, obawiając się, aby czasem nie przegapić wjazdu pana swego i władcy. A kiedy wreszcie, upadając już ze zmęczenia, położył się na parę minut, to przy drzwiach sypialni zasiadał w fotelu jego minister spraw zagranicznyoh, baron Senft, mający polecenie obudzić króla na pierwszy sygnał.

Nakoniec doczekano się przyjazdu Napoleona, który zresztą nie zechciał zaszczycić gościną swą księcia, zaawansowanego przezeń na króla; natomiast zaprowadził w pałacu własną gospodarkę, obiadował na własnym drogocennym serwisie, ofiarowanym mu w dzień ślubu przez miasto Paryż i zapraszał do swego stołu koronowane osoby, które wezwał do drezdeńskiej swej rezydencji. Podczas przyjęć wieczornych obserwowano tam osobliwą etykietę, mającą na celu wyraziste zaznaczenie różnicy pomiędzy cesarzem, a pozostałemi koronowanemi głowami. Dzień w dzień, w oznaczonej godzinie wszyscy zbierali się w cesarskich apartamentach, przyczem ochmistrzowie dworu grzmiącym głosem wygłaszali huczne tytuły przybywających: „Jego Królewska Mość Król i Królowa Sascy, Ich Apostolskie Moście Cesarstwo Austryjaccy, Jej Cesarska Mość Najjaśniejsza Pani, Cesarzowa Francji, królowa włoska“. A kiedy już wszyscy byli zebrani ukazywa się sam rozkazodawca. Po krótkiej pauzie znowu się rozwierały podwoje, poczem Wielki Mistrz Ceremonji uderzał dwukrotnie laską o ziemię i zwięźle zapowiadał: „Cesarz“. Rrzuciwszy parę słów temu i owemu z gości, Napoleon zmierzał do jadalni. Jak to zapisał jeden z dworskich dygnitarzy, orszak cesarski posuwał się w następującym porządku: „Napoleon kroczył pierwszy, w kapeluszu na głowie; o parę kroków za nim szedł cesarz Franciszek, prowadząc pod rękę córkę swą, Marję Ludwikę, cesarzową Francji; okoliczność ta łagodziła do pewnego stopnia konieczność kroczenia z obnażoną głową; pozostali królowie i udzielni książęta, przyjmujący udział w pochodzie, sunęli bezładnie w przyzwoitej odległości poza cesarzami, trzymając kapelusze w rękach. W gromadzie tej tłoczyli się i sami gospodarstwo, Królestwo Sascy z rodziną“. W owych processjach nie brała udziału jeno cesarzowa Austryjacka: słaby stan jej zdrowia dawał jej prawo do ukazywania się w jadalni w fotelu na kółkach; ale i ów sposób ominięcia napoleońskiego ceremoniału poczytywany był naówczas za nielada śmiały protest.

Władysław Nawrocki.

WROGOWIE WSPÓŁCZESNEJ LUDZKOŚCI.



U góry od lewej ku prawej: Karol Malato, aresztowany po zamachu na Alfonsa XII; następnie niżej od lewej ku prawej: Harvey, książe Krapotkin, Emil Henry, Emil Pouget (zwany również Ojciec Peinard), Ludwika Micheł (czerwona dziewica); na dole od lewej ku prawej: Albert, znakomity uczony, Elizeusz Reclus, prelegent, Sebestjan Faure i Adolf Reichman.





U góry od lewej ku prawej: Vallina (posądzony o udział w zamachu na Alfonsa XIII w Paryżu), Fromentin (anarchista miljoner, którego imię jest wymieniane od czasu napadów Bonnot'a), Palacios i Mavarro (spólnicy Vallina), Burcew; na dole od lewej ku prawe,: Miguel Almeryda, Loizel, Ferreirzo (wspólnik Vallina), Vailiant i Bakunin, ojciec anarchizmu.

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

2)

W noc księżycową.

Karol nic nie odpowiedział. Nerwowym ruchem pchnął drzwi i wszedł. Na otomanie, krytej wspaniałym dywanem siedziała jego Zosia, do której list nosił w tej chwili na piersiach! Z prawdziwem zdziwieniem, drżąc ze wzruszenia — cały czerwony, poznał w niej oną pannę w niebieskiej sukience i słomkowym kapeluszu. Przywitał się jak nieprzytomny i nie rozumiejąc prawie jej serdecznych okrzyków—usiadł na swojem zwykłem miejscu, mając na przeciw siebie gospodynię.

Podwieczorek zwykle pełen gadaniny nudnej i wesołego paplania pani Heleny — dzisiał był dosyć posępny. Pan Bogumił swojem usposobieniem mroził wszystkich. Nawet Zosia, która witana tak serdecznie, nie mogła zrozumieć tak szybkiej zmiany nastroju, przestała wkońcu opowiadać nowiny z domu, widząc, że zarówno stryj—jak i jego młoda żona, nie są zbyt skłonni do słuchania, tych w gruncie rzeczy błahych historyjek. Jej oczy natomiast, często zatrzymywały się na zasępionej twarzy Karola — pragnąc wyczytać w jego spojrzeniach odpowiedź na swoje pytanie: „Dlaczego jesteś tak smutny? Czy się nie cieszysz, że przyjechałam? Czy zapomniałeś już o dawnych przysięgach? Rok temu byłeś inny! I czuła idący smutek od tych posępnych twarzy, smutek obejmujący jej serce lodowem tchnieniem.

Karol tymczasem bardzo ostrożnie pisał pod stołem na wyjętym liściе: „Bądź dzisiaj w ogrodzie, gdzie wiesz. Jak najpóźniej".

Pisał na pamięć, — co jakiś czas tylko opuszczając głowę ku dołowi, co Zosia uważała za najwyższą oznakę jego przygnębienia. Poczem nie patrząc na nikogo, podsunął jej list—i jadł—słysząc wyraźnie bicie swego serca i szelest chowanej przez Zosię kartki.

W tej właśnie chwili pan Bogumił wstał i kiwnął na niego palcem. Karol lekko pobladł — a Zosia spojrzała z przerażeniem na panią Helenę, po której ustach snuł się lekki, ironiczny uśmiech. To jeszcze bardziej podrażniło starego rządcę. Powtórzył swój gest i rzekł z niechęcią:

— Chodź do kancelarji. Musimy porozmawiać z sobą.

— Czy koniecznie teraz? — spytała jakgdyby od niechcenia pani Bogumiłowa.

— Tak — odpowiedział twardo.

Karol wstał i rzuciwszy Zosi miłosne spojrzenie, udał się za swoim opiekunem. Pan Bogumił wszedł pierwszy i zamknął drzwi za sobą na klucz. Usiadł przy kantorku i wskazawszy Karolowi krzesło—uczynił jedną ze swoich srogich min, przed którą drżeli parobcy — a dziewczętom wszystko z rąk wylatywało. Nastąpiła długa chwila milczenia, w czasie której Karol myślał o Zosi. Nie widział jej rok—i nie mógł się nadziwić tej zmianie, jaką zauważył. Urosła, utyła, wypiękniała. Zawsze była piękna — lecz teraz przeszła miarę tej piękności. Karol przypomniał sobie słodką rozkosz jej pocałunków i cały tonął, w wspomnieniach. Oszołomiony urokiem marzeń, nie słyszał słów pana Bogumiła, który mówił poważnie:

— Mój Karolu. Wychowałem cię—wykształciłem. Masz już dzisiaj 18 lat—i skończysz za rok szkoły. Będziesz człowiekiem—

— Cudowna, cudowna — myślał Karol, wyciągając ręce, aż mu kości chrupnęły.

— Nasza ojczyzna potrzebuje dobrych i dzielnych synów — mówił dalej pan Bogumił, porządnych obywateli i uczciwych ludzi.

— Dzisiaj przypomnę sobie jej pocałunki — marzył dalej, już czując rozkoszne ciepło jej uścisków...

— A pierwszym warunkiem tych zalet— ciągnął dalej p. rządca jest wdzięczność i szczerość — pamiętaj — wdzięczność!

Karol drgnął. Spojrzał na niego i rzekł spokojnie —

— Ja jestem panu bardzo wdzięczny, za wszystko co pan dla mnie uczynił.

— To tylko słowo — odpowiedział. Ja nie chcę słów — tymbardziej takich, którym przeczą czyny.

— Moje czyny nie przeczą moim słowom.

— Owszem, zaprzeczyły dzisiaj, kiedy wszedłem do kancelarji. Pisałeś list.

— „Co on zwarjował z tym listem“ — pomyślał Karol — A głośno dodał:

— Tak pisałem list... i przepraszam pana za to.

— To mało przepraszam — zawołał pan Bogumił, jeżeli czujesz jakiekolwiek obowiązki względem mnie — to dasz mi ten list!...

Karol wstał podrażniony

— Co to—to nie! — proszę pana — rzekł nieco za głośno. Takich listów się nie pokazuje. Wreszcie już go nie mam.

Pan Bogumił spojrzał na niego strasznym wzrokiem

— Oddałeś go już? Tak! no powiedz— to chyba możesz powiedzieć.

— Tak!...

Stary rządca wstał. Był blady i ręce mu drżały, czego nigdy Karol jeszcze u niego nie widział.

— Gdybyś był moim synem — rzekł zduszonym głosem, dałbym ci 25—odlewanych, ale nie będę bił obcego człowieka, który zapomniał o swoich obowiązkach i hańbę pod mój dach wprowadził. Pies by nie zagryzł swego dobroczyńczy—ale ty zapomniałeś, że cię z pod płotu podniosłem!

Karol zatrząsł się jak śmiertelnie raniony w samo serce. Chciał krzyczeć, rzucić się — zaprzeczyć — nie mógł wydobyć głosu. Stał oszołomiony, przerażony i zdumiony, nie mogąc zrozumieć, dla czego jego opiekun miłość do Zosi uważa za hańbę swego domu. A może myśli, że jej nie kocham i tylko chce tak—sobie—pomyślał... i rzekł zaraz siląc się na spokój:

— Ja ją kocham — i mogę się ożenić!...

— Precz!... krzyknął pan Bogumił, pokazując mu drzwi kancelarji. Jeszcze ja żyję!... Jutro cię Andrzej odwiezie do miasta i rób co ci się podoba... Dosyć ogrzewałem żmiję własnem ciepłem... Karol wyszedł, czując szum w głowie. Przechodząc koło okien — zajrzał do środka i z przerażeniem zobaczył... że stary rządca siedzi przy stole, mając twarz ukrytą w dłoniach, któremi co jakiś czas ocierał oczy. Płakał!... Pan Bogumił płakał! Widok ten, był dla Karola tak okropny, że wzruszony uciekł do swego pokoju— i rzucił się na łóżko.

— To straszne — mówił prawie głośno. Stary płacze, jak gdyby się stało jakieś nieszczęście—a ja jej już rok nie widziałem.

Nie mogąc sobie wytłomaczyć tego niezwykłego wypadku, czekał z upragnieniem nocy. W zeszłym roku Zosia wykradała się z domu i wybiegała do niego. Spotykali się w ustronnej alejce, gdzie stała maleńka altana i przepędzali tam słodkie godziny. Pierwszy brzask zawracał ich do łóżek—w których marzyli o sobie, nim sen otoczył ich głowy obłokiem słodkiej martwoty... Dzisiaj napisał, aby przyszła. Czy przyjdzie? Karol

był przekonany, że go nie zawiedzie; wyczytał to w jej oczach...

Na kolację nie zeszedł i nie odpowiadał na pukanie do drzwi. Leżąc na łóżku z oczyma utkwionemi hen daleko — za drzewami ogrodu — czekał mroku. I przyszła nareszcie noc. Cicha, słodka — ciepła noc księżycowa zalana światłem zielonych promieni, srebrzących kroje drzew i liści. Padły cienie długie i mroczne — jak czarna koronka, położona na białej materji, drżały wachlarze liści i bukiety kwiatów pachnących na rabatach. Cały ogród tonął w pachnącej ciszy jak w morzu, oddychając szelestem lekko poruszanych drzew, drżąc w brzemiennych wonią powiewach, zmieniających przeróżne desenie cieni, padających od splątanych gałęzi na zaniedbane aleje. Powoli zgasł dzień... i szła ta cudna pajęczyna mroku, obejmując cały świat widzialny w ramiona słodkiego spokoju, opromieniona bladą twarzą księżycowej łodzi, płynącej po niebieskawym morzu nieba, lśniącym od gwiazd. Karol wstał z kanapy, wyciągnął się i stanął w oknie. Noc była widna i gorąca! Uderzył go zapach, idący od kwitnących róż, które rosły pod oknami pani Heleny, pielęgnowane przez nią i kochane. Spojrzał na zegarek, była godzina 10-a. Cisza, idąca od wsi, przerywana jedynie rechotem żab i ujadaniem psów—potwierdzała prawdziwość czasu, w którym zazwyczaj już wszyscy spali. Mimo to Karol czekał jeszcze z godzinę, poczem cichutko wysunął się do ogrodu.

Szedł prosto do umówionego miejsca — przechodząc niepostrzeżenie obok dość licznie porozrzucanych miłosnych par... zakochanych dziewcząt i parobków dworskich. Stali w cieniu całując się i śmiejąc przyduszonym głosem. Przyzwyczajony do tego widoku, nie zwracał na nich uwagi, tymbardziej, że nagle wsród odurzającej ciszy usłyszał tętent, galopującego konia. Był już blizko parkanu, oddzielającego tę część ogrodu od chłopskich gruntów, więc przyspieszył kroków... i podbiegł do sztachet, pragnąc koniecznie zobaczyć jeźdźców. Jakoż i zobaczył! Lecz był to już zaledwie cień, który zniknął w mroku dużych krzaków olszyny, rosnących nad brzegiem rowu. Natomiast Karol, ku prawdziwemu zdziwieniu, zobaczył skradającego się człowieka, który z podstawy i ruchów ogromnie przypominał pana Bogumiła. To go tak zadziwiło, że kiedy usłyszał szelest sukienki Zosi, odwrócił się—i zaleciwszy jej milczenie, pokazał snujący się cień. Oboje przyłożywszy głowy do sztachet, z wielkiem zainteresowaniem śledzili ruchy tajemniczego gościa, tak według ich zdania, przypominającego starego rządcę.

Tymczasem p. Bogumił przelazł przez rów i, okrążywszy zabudowania, szedł w ich stronę po przez małe alejki i zarosłe zielskiem trawniki. Nie zastawszy żony w domu, uzbroiwszy się w porządny kij, szedł na poszukiwanie gacha. Od dawnego czasu podejrzewał, że schodzi się z Karolem i teraz miał pewność. Jej całe zachowanie dzisiaj i jego stanowczość w kwestji napisanego listu—umocniły go w tem przekonaniu, które krwawiło mu serce jadem rozpaczy bez granic. Teraz zacisnąwszy pieści skradał się cicho, przekonany o blizkim tryumfie. Wkrótce też usłyszał głosy i zduszony śmiech Karola. To go doprowadziło do wściekłości. Ścisnął kij i odsunąwszy kilka gałęzi, rosnących nisko podszedł jeszcze kilka kroków i stanął gotowy rzucić się przed siebie w każdej chwili.

Zakochani byli oddzieleni jedynie kilkoma krzakami dzikiego agrestu i p. Bogumił wyraźnie słyszał ich szepty. Nadstawił uszu czując gwałtowne bicie serca i napływającą falę wściekłości. Prawie nieprzytomny z żalu i oburzenia słuchał słów Karola,

— Ja ciebie bardzo, bardzo kocham. I nie rozumiem dlaczego on się tak wściekał.

„On"—to ja, pomyślał pan Bogumił.

— Jak tylko będzie można, to się z tobą ożenię—mówił dalej Karol, głośnym pocałunkiem akcentując swoje wynurzenia.

Pan Bogumił pobladł, i lewą ręką odrzuciwszy gałęzie, jednocześnie w prawej jeszcze mocniej ściskał dębowy kij.

— Kości mu połamię—mamrotał. I już się miał rzucić z krzykiem, bezwątpienia bardzo dramatycznym, kiedy do jego uszu doleciał głos kobiecy, który go zatrzymał na miejscu i wprowadził w zdumienie.

— I ja ciebie kocham—mówiła szeptem Zosia. I doprawdy nie rozumiem dlaczego stryj Bogumił tak rozpaczał.

Tam do djabła—szepnął zdziwiony rządca. To nie Hela. Uderzył się w czoło i był już prawie zadowolony, kiedy przypomniał sobie, że bądź co bądź, pani Heleny w domu nie zastał. Wycofał się z krzaków i prawie kłusem pobiegł do domu. Chciał się przekonać, czy jego młoda żona już wróciła — i z prawdziwą przyjemnością zobaczył,

że siedziała przed lustrem, czesząc swoje długie piękne włosy.

— Gdzieś była? zapytał zadyszany—Przed pół godziną byłem w domu i szukałem cię po całym parku.

Pani Helena spojrzała na niego zdziwiona.

— Noc jest tak piękna — odpowiedziała spokojnie, że poszłam się przejść... Cóż w tym dziwnego?—

— Prawda i to... Usiadł na przeciw niej i odsapnął...

— Rzeczywiście noc jest księżycowa i ciepła. Co chwila można spotkać gruchającą parę... rzekł. Nawet spotkałem Karola i tę smarkatę. Trzeba ich mocno trzymać, bo jeszcze jakie głupstwo zrobią... A tyś spacerowała? rzucił nagle, patrząc na nią badawczo.

— Tak.

— I nie słyszałaś tętentu konia?—

Pani Helena lekko się zmieszała... czego pan Bogumił nie zauważył. Po chwili odpowiedziała spokojnie.

— Nic nie słyszałam...

— To ciekawe — co on tu mógł robić o tej porze.

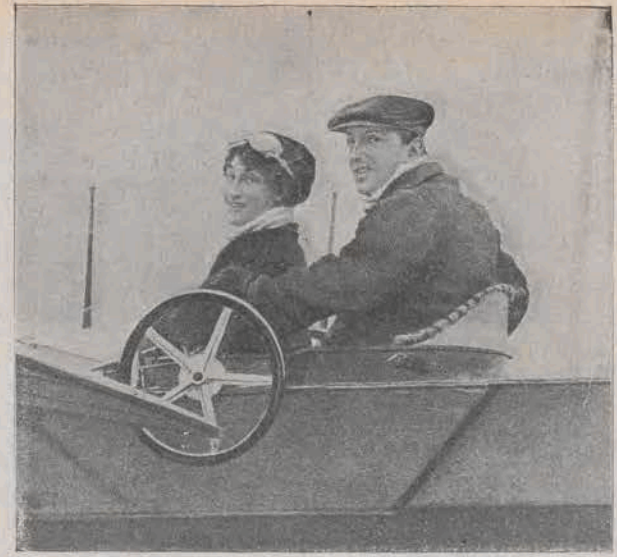
— Kto?

— Dierżawca z Olszanki...

Może przyjechał do jakiej dziewczyny— odpowiedziała nie patrząc na niego — i po jej ślicznych ustach przesunął się ten sam lekki ironiczny uśmiech.

Pan Bogumił zamyślił się poważnie.

Prenumeratorom, którzy nie opłacą zaległej prenumeraty do dnia 31 b. m. zmuszeni będziemy wstrzymać wysyłanie „Złotego Rogu“.



Ironja losu.

Słynny lotnik Latham — zginął na polowaniu w Congo francuskiem, rozszarpany przez rozjuszonego bawołu.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

28)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Tutaj, odurzony zapachem drzew cytrynowych i kwiecia migdałowego, pod stopami miękkie kobierce a za wezgłowie mając kolana Maryny, stary swój łeb kołysał, a tuląc do ust rozpromienionych niebronne palce umiłowanej niewiasty, szeptał z zapartym oddechem:

— I kiedyż mi ciebie na własność mieć a wszystkie drobiażdżki twoje łakomemi usty całować?... i kiedyż mi pozwolone rzec będzie: mojaś ty, jako mój dech piersi, żył młoty, żar krwi, jakim zionę ku tobie, lew oszalały?... Gram sercem, nito gędżbiarz na lutni strojnej miłosną pieśnią rozgrzany; omdlewam i ożywam na śnieżnych wzgórzach twych piersi, szczęścia pełen i zazdrości, by nie prześlizgnęło się już po nich oko niczyje, w niczyjej imaginacji nie zarysowały się ich kształty przedziwne. Mam cię i nie mam, bo zawżdy mi coś do zdobyczy jeszcze ostawiasz, w połowie głębokiego westchnienia dech wstrzymujesz, gasisz płomień, gdy on chce pożarem wybuchnąć!... Mojaś i nie moja!.. a mnie ogarnia szał, z krtani ryk się wyrywa, mus gwałtu... złamany udanym gniewem twoim. I skomlę jako żak skarcony, wijąc się u stóp twoich a błagając o spędzenie chmur, jakiemi się czoło twoje zasnuło, o uśmiech zamkniętych ust, o rozjaśnie-

nie gwiazd twoich oczu!.. I kiedyż mi ciebie na własność mieć a łakomemi usty wszystkie drobiażdżki twoje całować?..

Tak nieraz szeptał lew stary w onej komnacie pełnej kwiecia i woni, pociągany czarem Maryny, zatrzymywany jej gniewem udanym. Perły i djamenty pod stopy jej rzucał, był posiadaczem ust i ramion, splotami jej rąk szyję swoją oplatał, lecz nie miał mocy Samsonowej, by rozłamać marmurowe kolumny jej nóg.

Ten opór Maryny na dobro jej tłomaczył, gdy szał przemijał. Wżdy pani Dominika żyła, miejsce zaś po niej, jako małżonka prawa, Maryna miała zająć. Gdyby woli jego uległa a folgę dała słabości swojej, nie patrzałby już okiem tak spokojnym na tylu młodzieńców, przewijających się przez pokoje pilickiego zamku. Złe podejrzenie, jak kleszcz w ciało, wżarłoby się w duszę pana wojewody; szept każdy, rzucony rycerzowi przygodnemu, każde spojrzenie, zatrzymane na twarzy nowego gościa — żarem by go paliło... a tych młodzieńców, tych rycerzy, tych gości nowych, pociąganych pięknością Maryny, niemal codziennie widywał tu pan Włodek. Bale i uczty trwały bez przerwy prawie; rzadki był dzień, by tak pusto było na zamku, jak dzisiaj. Ale wśród grona biesiadników, wśród tylu młodzieńców i rycerzy, wyróżniany był on—wojewoda!.. I to go uspakajało, złym myślom nie dawało przystępu, otrzymywane zaś pocałunki tych ust pięknych w ciszy, w samotności, w półmroku, napawały go dumą i pewnością, że on tylko jest miłowany!.. Zapomniał o parangonach i balasach, o roli jaką odegrywały w onem poddawaniu się Maryny. Pamiętała jednak o tem Maryna i bawiła się oszukanem sercem lwa starego, a jako tam było z młodzieńcami innymi, to tajemnicy nie zdradzą ciężkie kotary adamaszkowe, ni głuche marmury ścian pałacowych.

Pan wojewoda oczekiwał przyjścia swej pani. W palcach lewej ręki trzymał bogaty sznur pereł i iskrzący się brylantami dyadem. Rad był z tej pustki, jaką dostrzegł w komnatach zamkowych: znać że długo trwająca zawieja nie pozwalała gościom zwykłym progów tych przestąpić. On jeden tylko tu przybył, on jeden tylko, gnany tęsknotą miłosną, rozkopał zwały śniegowe i na wdzięczny uśmiech zasłużył i głębiej się wrył w serce umiłowanej niewiasty. Pokręcał wąsa — z rozrzewnieniem na każdym sprzęcie wzrok zatrzymywał — i wzdychał.

Kroki — —

Na twarzy wojewody uśmiech błysnął.

Rozsunęła się kotara — — —

Wojewoda postąpił szybko—i wstrzymał się nagle.

W drzwiach stanął marszałek dworu, stary Jóźwin.

— Jejmość pani prosi miłość waszą do małej zbrojowni—odezwał się, podtrzymując ręką ciężkie fałdy kotary.

Ma twarzy wojewody odmalował się niesmak, bruzda niezadowolenia zorała czoło — —

Do „małej zbrojowni“ Maryna go prosi!..

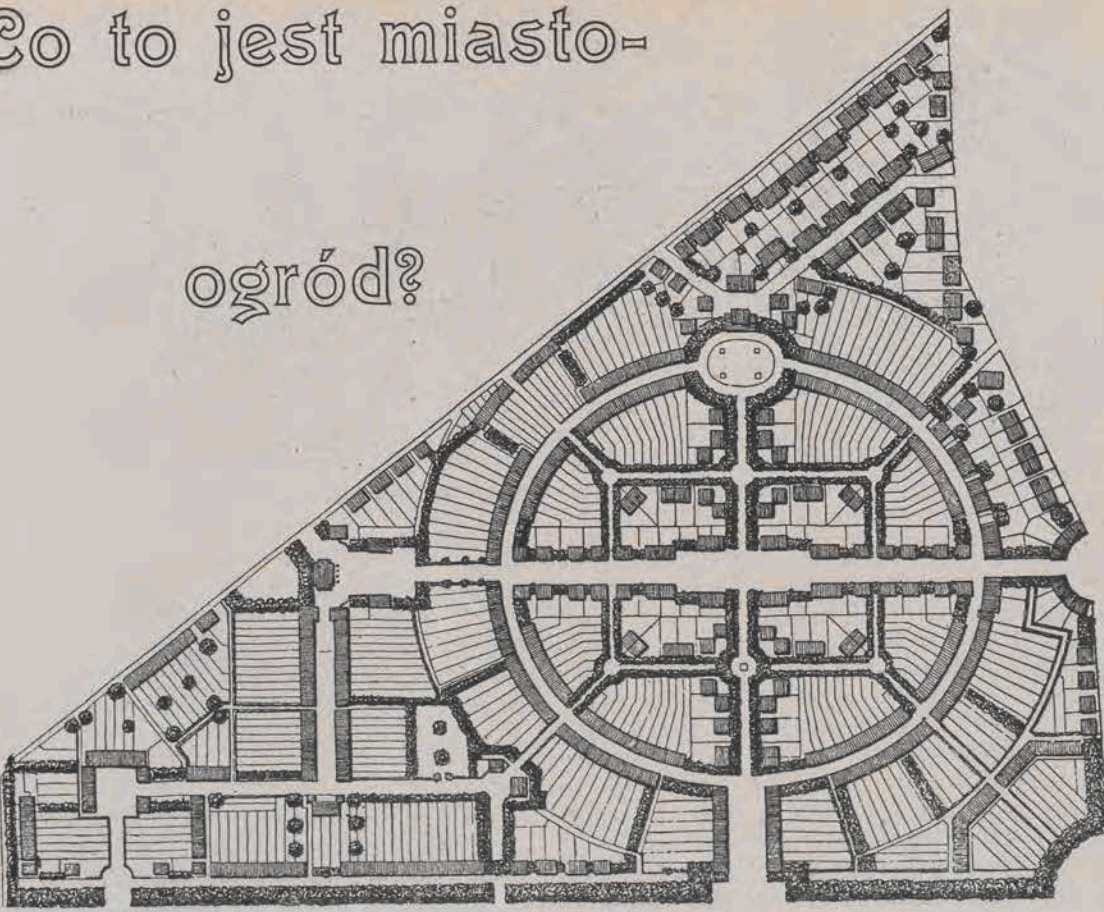
Znał tę izbę ciemną o płytach kamiennych, nie pokrytych kobiercem żadnym, gdzie parę ław twardych kuliło się do szarych ścian, zawieszonych żelaziwem przedwiecznem. Ani uklęknąć tam na podłodze o cegłach wyszczerbionych, ani przysiąść w rozmarzeniu lubem na wązkich, twardych deskach ław dębowych, ni wonią nasycić się kwiatów upajających, bo pochwy szablic starych i zmurszałe łuków kołczany stęchlizną wieją a miecz wilgocią oddycha. Ale nie czas był do namyślania się nad tem wszystkiem, bo pan marszałek w nieruchomej ręce trzymał kotarę podniesioną i uchyleniem głowy prosił, by szedł. Stłumił więc westchnienie, raz jeszcze powiódł oczyma po onej, którą opuszczał, izbie wspomnień — i skierował się ku wymienionej zbrojowni małej.

Kotara z szelestem opadła...

Odgłos kroków oddalających się pana marszałka ucichł w komnatach dalekich.

Przeszedłszy izb kilka, pan wojewoda wszedł do zbrojowni, w której zastał Marynę, w tej samej sukni czarnej, w jakiej ją spotkał był dziś rano w kaplicy Jasieniec. Suknia była powłóczysta, zapięta po szyję. Ni ramion, ni rąk obnażonych, ni klejnotów żadnych widać nie było, tylko piękny warkocz włosów bujnych, spięty grzebieniem wysokim oplatał głowę, obcisłe zaś, długie rękawy szaty skromnej i wązkiej nadawały jej podobieństwo do zakonnego habitu. W stroju takim nie widział nigdy jeszcze pan wojewoda Maryny. Coś go zmroziło i słowa, jakie niósł, gorące słowa z ust zwiało. Nie wyciągnąć dziś ramion do tego posągu, otoczonego majestatem niewidzianej dotąd powagi. (d. c. n.)

Co to jest miasto-ogród?

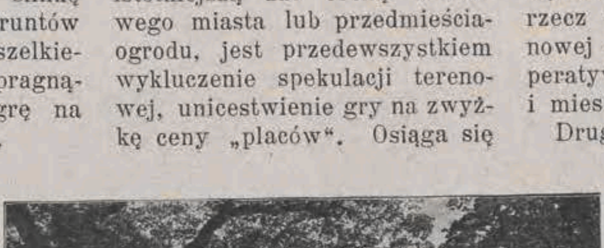


Plan „przedmieścia-ogrodu“ pod Mannheimem.

Zniesienie obwodu fortecznego naokoło Warszawy otworzyło wiele nowych terenów do parcelacji. Włóki i morgi różnych nieużytków i mokradeł, zamienione na łokcie i pomnożone przez kopiejki, dają cyfry kolosalne, sprowadzające ślinkę do ust tak właścicieli gruntów podmiejskich, jakoteż wszelkiego kalibru spekulantów, pragnących się zabawić w grę na zwyżkę renty gruntowej.

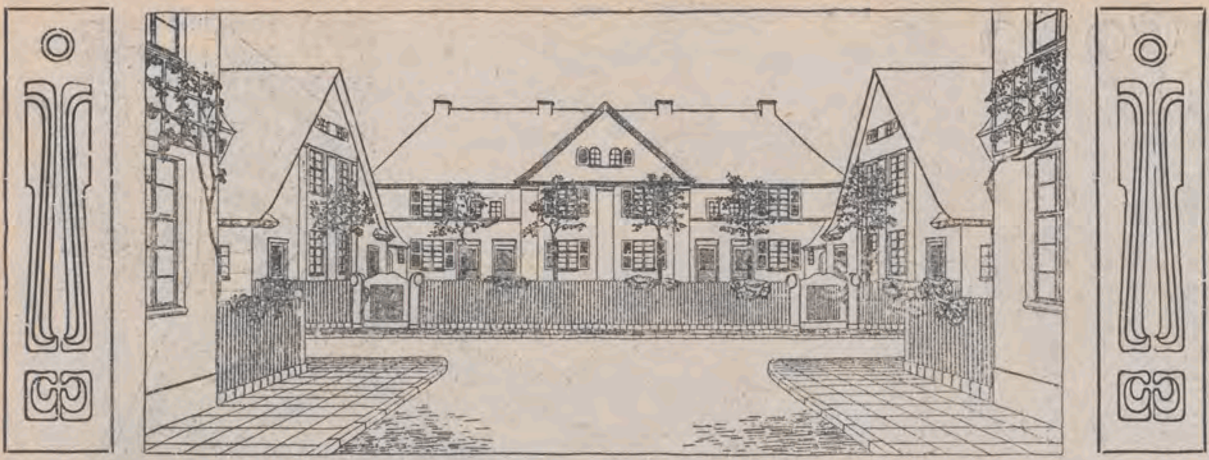
Ponieważ wszakże wielu już się na tej grze sparzyło, osiadłszy na piasku, więc spekulacja występuje teraz pod maską, kryjąc się za popularny szyld: *miasta—ogrodu.*

Ta nazwa, rozpowszechniona od lat kilkunastu na Zachodzie, maluje samą rzecz, samą ideę — źle, bo niedokładnie. Spekulanci wmawiają w swoich ogłoszeniach, a profani wierzą, że miasto-ogród — to każde letnisko lub siedlisko, mające dużo ogrodów. Tymczasem w nowożytnem pojęciu „miasta-ogrodu“, ogród nie stanowi bynajmniej istoty rzeczy, lecz tylko jedną z cech charakterystycznych. Najistotniejszą zaś cechą właściwego miasta lub przedmieścia-ogrodu, jest przedewszystkiem wykluczenie spekulacji terenowej, unicestwienie gry na zwyżkę ceny „placów“. Osiąga się to w ten sposób, że inicjatorzy „miasta-ogrodu“ zakupują odrazu dużą przestrzeń względnie taniego gruntu, a cały zysk, jaki się osiąga z zamiany tego gruntu na place pod budowę, idzie nie do kieszeni spekulanta, ale na korzyść ogólną, na rzecz wszystkich mieszkańców nowej osady. Jest to więc kooperatywa terenowa, budowlana i mieszkaniowa.



Dom o 8-miu mieszkaniach z Wystawy hygienicznej w Dreznie.

Drugą cechą istotną właściwego „miasta-ogrodu“, czyli osady, założonej na zasadach kooperacji, jest *planowość.* Planowanie siedzib ludzkich jest dzisiaj osobną umiejętnością, a planowanie „miast-ogrodów“ jedną z gałęzi tej umiejętności. Miasto-ogród—w pojęciu zachodnio-europejskiem—to osada planowana według pewnego określonego typu. To nie jest letnisko, ani dzielnica willi podmiejskich, czy po-



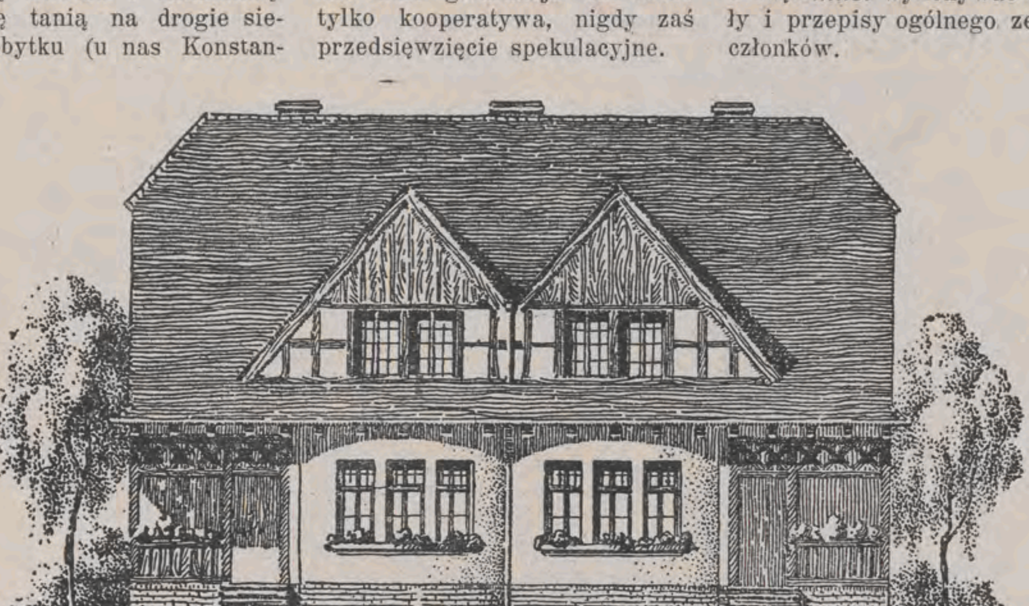
Przedmieście—ogród. Widok domów zespolonych.

zamiejskich. To jest osada, przeznaczona dla wszystkich warstw społecznych, zarówno zamożniejszych jak i niezamożnych. To jest kulturalne miasteczko, odpowiadające wszystkim wymaganiom hygieny i wygody, a obok tego bardzo tanie.

Specjalny typ, specjalny plan nowej siedziby musi być zachowany na stałe. Nie można oddać go na pastwę fantazji lub dowolności poszczególnych obywateli nowej osady. Ta właśnie dowolność, odpowiadająca ekonomicznej zasadzie „laisser faire“ wykrzywiała dotychczas wszelkie przedsięwzięcia stworzenia siedzib wzorowych, podejmowane różnemi czasy — bez dobrego rezultatu. Albo warstwy ekonomicznie silniejsze, rugowały słabsze i zamieniały dzielnicę tanią na drogie siedlisko zbytku (u nas Konstancin), albo ludność niekulturalna, puszczona samopas, zamieniała letnisko na śmietnisko (u nas Otwock i wiele innych), albo wreszcie niczem nieskrępowana chciwość zamieniała małe domki na wielopiętrowe koszary, przy których oczywiście ginął ogród. Bez poskromienia chciwości i spekulacji, bez ograniczenia wolności podrażania rzeczy taniej, psucia rzeczy dobrej i oszpecania rzeczy pięknej — niemasz „miasta-ogrodu“.

Takim ograniczeniom można się poddać w imię dobra publicznego, na rzecz ogółu, mając przytem gwarancje, że żadne ograniczenie nie będzie posunięte poza niezbędną potrzebę, ani też nie będzie wyzyskane w celach prywatnego zysku. Ale takie gwarancje dać może tylko kooperatywa, nigdy zaś przedsięwzięcie spekulacyjne.

Kooperatywa jest wreszcie niezbędna i dlatego, aby nowych osadników nie pozostawiać własnym siłom, jak Robinsonów na odludnej wyspie, ale by całe przedsięwzięcie, całą kulturę nowej osady stwarzać wspólnemi siłami. Tylko wtedy ma się gwarancję, że wszelkie meljoracje i urządzenia kultralne jak: komunikacja, kanalizacja, drogi, oświetlenie etc. etc. będą zaprowadzone naprawdę i będą odpowiadały potrzebom mieszkańców, a nie widokom przedsiebiorczym. Nic tu nie pomogą różne „Towarzystwa przyjaciół“ danej miejscowości, zakładane zbyt późno, kiedy już wolność indywidualna nie da się ująć w kluby. W „mieście-ogrodzie“ każdy *musi* należeć do kooperatywy, a więc *musi* wykonywać uchwały i przepisy ogólnego zebrania członków.



Miasta—ogrody: Dwa domy bliźniacze.



Ludomir Grendyszyński
propagator idei miast.-ogrodów.

Słowem „miasto-ogród“ we właściwem znaczeniu tego słowa — jest to kooperatywa mieszkańców dzielnicy taniej, założonej według pewnego typu, oparta na zasadach pełnego samorządu i współdziałania, z wykluczeniem lub ograniczeniem szkodliwej dla ogółu gry indywidualnych interesów i namiętności. Jest to wielki „związek przyjaźni“, o jakim marzy p. Abramowski. Krócej jeszcze mówiąc: miasto-ogród — to miasto kooperatywne, a bez kooperatywy — niemasz „miasta-ogrodu“.

Zorganizowanie podobnej kooperatywy, zgoła nowego typu, było u nas dotychczas utrudnione dla braku odpowiednich form ustawowych. Gdy wszakże d. 4 czerwca r. b. została Najwyżej zatwierdzona ustawa „Warszawskiego Towarzystwa stałych mieszkań“, opartego na zasadach kooperatywnych, odpowiadających idei miast-ogrodów—przeszkoda prawna została usumięta.

Trzeba teraz pracować nad przezwyciężeniem naszej bezwładności, nieuświadomienia oraz taniego i wygodnego pesymizmu, a wkrótce powstanie nietylko pierwsze wzorowe przedmieście-ogród w Młocinach, ale cała Warszawa otoczona zostanie wieńcem prawidłowych „przedmieść-ogrodów“.

Gdy zaś należyte pojęcie idei „osady kooperatywnej“ przeniknie do szerszych warst ludności, p.p. spekulanci gruntowi będą musieli poddać się wymaganiom postępu i zrezygnować z polowania na naiwnych.

Aby dać pewne wyobrażenie o tem, jak się planują dzisiaj na Zachodzie przedmieścia-ogrody, podajemy kopję planu przedmieścia Mannheimu oraz wize-



Dr. Władysław Dobrzyński
propagator idei miast-ogrodów.

runki paru grup domków o mieszkaniach najtańszych, łączących się pod jednym dachem. Każde, nawet najmniejsze mieszkanie posiada osobne własne wejście, schody, górę, piwnicę i ogródek. Kuchnie i pokoje mieszkalne mieszczą się na parterze, zaś sypialnie na piętrze, dokąd prowadzą schodki wewnętrzne. Jest to typ angielski, stosowany obecnie i w Niemczech.

Ludomir Grendyszyński.



TEATR LETNI.

„Moralność pani Dulskiej“.

Komedja w 4-ch aktach Gabryeli Zapolskiej

Słusznie tak zwana dla moralności swojej, pani Dulska, została wystawiona w niedzielę pod batutą reżyserską p. Wostrowskiego przed obliczem publiczności warszawskiej, która tę naturalistyczną sztukę Gabryeli Zapolskiej przed trzema laty darzyła frenetyczną frekwencją w teatrze prywatnym. Byłażby w tem uczęszczaniu namiętność samobiczowania? W „Moralności pani Dulskiej“, jak to od kilku lat wiadomo, Gabryela Zapolska wywlokła „z pomiędzy czterech ścian“ brud obłudnej, chciwej, wstrętnej duszy małomieszczańskiej. Autorka nie przebiera w środkach, z okrucieństwem, z mściwością obraża kryminalistyczną etykę zamożnych, a trzęsących się o każdy grosz, kołtunów. Sztuka jest pełna zgrzytów, w manierze pisarskiej Najdienowska, z tą jedynie różnicą, że Gabryela Zapolska nie wpada w malaryczną melancholję rosyjską, ale ohydnym swoim bohaterom rozdaje rozgłośne policzki z iście sarmackim temperamentem.

Na najwyższą pochwałę za grę wprost świetną zasłużyli p.p. Ordon-Sosnowska (uwiedziona przez panicza służąca Hanka) i Ludwik Wostrowski, niezrównany w roli młodego małomieszczańskiego lamparta. Nie z siłą, ale z potęgą zagrał scenę, w której nikczemnej, tępej matce oświadcza, przepełnionej gniewem, że się żeni z Hanką. Dwie panienki Dulskie, wychowywane w miazmatycznej atmosferze obłudnej i sknerskiej rodziny, przedstawiły z dużym powodzeniem panie: Micińska (pensjonarkę z większym temperamentem) i Szyling (pensjonarkę z temperamentem mazgajowato-lirycznym). P. Baumanowa, wcielająca Dulską nagi nała się, nie zawsze szczęśliwie do roli nie leżącej, widocznie w jej środkach artystycznych. P. Horwat była dobrą „niemoralną“ krewną pani Dulskiej (o ileż jej niemoralność jest moralniejsza od moralności głównej bohaterki komedji!). P. Wojdałowicz dał plastyczny typ domowego wołu roboczego, p. Orczyńska wywiązała się z powodzeniem z charakterystycznej epizodycznej roli prostej kobiety w chuścinie. *Gr.*

„Gdy odejdziemy“.

Komedja w 1-ym akcie p. Mycho — przekład Wł. Palińskiego.

Rzecz dzieje się w redakcji. Na stole redakcyjnym leży rękopis p. t. „Pośmiertne wspo-

mnienie". Woźny czeka na telefon. Znakomity aktor lada chwila umrze i przygotowany o nim artykuł natychmiast pójdzie do zecerni.

Tymczasem wchodzi do redakcji komedjopisarz, Lemarschal. Wypadkiem bierze do rąk rękopis i, jak to się mówi, słupieje! Woźny uspakaja gościa, że nekrolog dopiero czeka na śmierć aktora, mówi, że wszyscy znakomici ludzie mają w redakcji przygotowane „wspomnienia pozgonne..."

Cóż prostszego nad to, że Lemarschal chce przeczytać swój własny nekrolog? Ofiarowuje woźnemu pięćdziesiąt franków za wydobycie na dziesięć minut rękopisu o Lemarschalu.

Woźny... prosi młodego dziennikarza, aby taki nekrolog na poczekaniu sporządził, a wesoły chłopiec z rozkoszą na to przystaje.

Wchodzi panna Róża Landry, której Lemarschal miał w redakcji odczytać swój nowy dramat. Artystka dowiedziawszy się, że autor przyjdzie za kwadrans, (Lemarschal wyszedł na pół godziny z obowiązkową wizytą), siada niezadowolona i przegląda pisma. Woźny podsuwa jej... nekrolog aktora. Od słowa do słowa... woźny otrzymuje sto franków za pokazanie jej wspomnienia pozgonnego o pannie Landry.

Uradowany woźny pędzi do młodego dziennikarza z prośbą o... nowy nekrolog. Ponieważ młody dziennikarz podkochuje się pannie Landry, więc macza pióro w zapale i najchętniej pisze wykwintny feljeton... o jej śmierci. Nie zapomina zaznaczyć, że on sam, p. Bartet, „uginał się pod ciężarem olbrzymiego bukietu mimozy, który to bukiet złożył na trumnie wielkiej „comedienne".

Lemarschal, przeczytawszy o sobie stek złośliwości wpada w szał. Tupie, wyzywa i wreszcie pali rękopis swojego dramatu (nigdy nie uwierzę, aby Lemarschal nie miał w domu drugiego egzemplarza tego arcydzieła). Zaś panna Landry... naznacza schadzkę młodemu dziennikarzowi, który jej okazał tyle serca po śmierci.

Pasjonatem - autorem był p.



Mounet-Sully.

Staszkowski, woźnym p. Kawalski, panną Landry — p. Sulima. Ta ostatnia olśniewała urodą i wspaniałemi szatami. Na premierze artyści nie wpadli w lekkokomedjowe tempo — z winy, oczywiście, tremy. Na następnych przedstawieniach dramatyczna scena p. Staszkowskiego nabrała kolorów komizmu, na czem zyskała całość, a zwłaszcza partnerka Lemarschala, panna Landry, która w osobie p. Sulimy, jak gdyby przeangażowała się z teatru „Rejane" do Rozmaitości. *Gr.*



Mounet-Sully w roli Edypa.

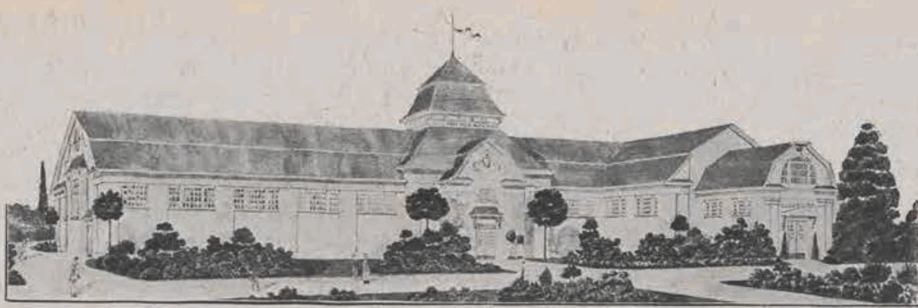
Jubileusz tragika.

Paryż i cała Francja w osobach najwybitniejszych przedstawicieli, obchodziła w tych dniach uroczystość czterdziestolecia pracy scenicznej wielkiego francuskiego tragika Mounet-Sully. Koledzy z Komedji Francuskiej i najwyższe sfery paryskie, ministrowie, deputowani, autorowie, arystokracja, artyści wyprawili Mounet - Sully'emu wspaniały bankiet. Mounet-Sully nigdy nie występował w sztukach błahych, modnych, sezonowych. On kreował wielkie postacie starożytnej tragedji greckiej, wcielał bohaterów Szekspira, Wiktora Hugo, Richepin'a. Za to, że sztandar sztuki dramatycznej niósł niezmiernie wysoko, że nie tylko był genialnym artystą, ale i artystą nie zniżającym się do łatwych zadań, rodacy postawili mu za życia pomnik w westibulu Komedji Francuskiej—obok Talmy.

Wystawa w Łodzi.

W dniu 17 b. m. otwartą została pierwsza wystawa Rzemieślniczo-Przemysłowa w Łodzi, urządzona z inicjatywy i pod kierunkiem miejscowej Resursy rzemieślniczej. Komitet wystawy, pragnąc dać możność prasie zaznajomienia się w ogólnych zarysach z wystawą, zaprosił przedstawicieli jej na dzień 14 b. m. Przy tej sposobności sekcja prasowa komitetu wystawy ułożyła cały program przyjęcia dziennikarzy, w którym oprócz zwiedzenia terenu wystawowego, było również zwiedzenie elektrowni tramwajów, fabryk Geyerów, Szejblera, próba straży ogniowej szejblerowskiej i t. p.

Na zaproszenie komitetu przybyło 17 przedstawicieli pism codziennych i tygodniowych z Warszawy i innych miast Królestwa. Na stacji kolei Łódzkiej sekcja prasowa z przewodniczącym, redaktor. Aleksandrem Milkerem na czele, powitała przybyłych kolegów, do których w ciepłych słowach przemówił red. Milker, poczem wszyscy specjalnymi wagonami tramwaju elektrycznego udali się na plac wystawowy, gdzie u wejścia powitał gości komitet wystawy z dyrektorem Wł. Wagnerem na czele.



Wystawa w Łodzi. Pawilon główny.

Po obejrzeniu całego terenu wystawy, udano się na stację centralną tramwajów, gdzie uprzejmie udzielał zebranym objaśnień dyrektor tramwajów, inżynier J. Witkowski, poczem wyruszono do najstarszej w kraju, bo założonej w 1827 r. fabryki Geyerów. Rodzina Geyerów zbyt dobrze znana jest u nas, abyśmy się rozpisywali dłużej o ich prawdziwie obywatelskim i polskim na wskroś duchu. U progów swoich powitali przybyłych p.p. R. Geyer i dyr. Brinckenkoff; po zwiedzeniu zakładów Geyerów, udano się do drugiej, również znanej fabryki, Szejblera; w imieniu właścicieli powitał przybyłych dyrektor zakładów, inż. Edward Wagner. Po zwiedzeniu główniejszych działów, uprzejmy i niestrudzony dyrektor Wagner, będący również komendantem szejblerowskiej straży ogniowej ochotniczej — przedstawił zebranym dzielną swą drużynę, która zaalarmowana w ordynku zjawiła się z całym taborem i ruszyła na próbne gaszenie ognia do jednego z budynków fabrycznych. Dyr. Wagner w pięknym mundurze komendanta, z iście wojskowym animuszem dowodził swoimi oddziałami, poczem w imieniu firmy Szejblerów zaprosił obecnych na obiad do resursy Szejblerowskiej na Księżym młynie, a ztąd na zabawę „strażacką“ do dużego i ładnego parku „Żródliska“. Zakończono ten pełen wrażenia dzień bankietem urządzonym przez miejscową prasę na cześć przybyłych dziennikarzy. Bankiet odbył się w sali hotelu Manteuffla w bardzo uroczystym nastroju. Całą organizacją przyjęcia zajmowali się z wyszukaną uprzejmością i gościnnością pp. redaktorowie: Aleksander Milker (Neue Lodzer Zeitung), St. Łąpiński (Rozwój), Jan Garlikowski (Nowy Kurjer Łódzki), B. Filipowicz (Polska gazeta Łódzka) Jan Rymkowski („Rozwój“) i inni. *S. C.*

Polityka

Zeszli się lekarze nad łożem „chorego człowieka“. Gdy w polityce mowa o „chorym człowieku“, zbyteczne chyba dodawać, że to o Turcję idzie. Choroba poważna: rozkład wewnętrzny. Oficerowie armji buntują się — a przecież oficerowie w Turcji, to „sól narodu“. Oni przecież spowodowali ostatni przewrót, usunęli Abdul Hamida, wprowadzili konstytucję, założyli podstawy pod uzdrowienie państwa i wprowadzenie go na drogę rozwoju.

Niestety, zdaje się, że kuracja podjęta została zapóźno. Organizm państwowy turecki spróchniał i nic go już uratować nie może. Niezgoda mocarstw trzyma go jeszcze przy życiu. Jeżeli jednak zadecydują koniec państwa ottomańskiego — natenczas przed oczyma współczesnych rozegra się widowisko smutne: rozbiór Turcji.

Z Petersburga powiały pierwsze pogłoski o podjętych w tym względzie rokowaniach. Podobno ułożono już plan podziału państwa Padyszacha. Za pewność pogłosek tych ręczyć niepodobna, są one jednak tak interesujące, że niepodobna pominąć ich milczeniem.

A więc według owego planu, Rosja ma otrzymać Konstantynopol i cieśninę Dardanelską z odpowiednim pasem ziemi. Resztą posiadłości tureckich w Europie podzielą się Bułgarja, która otrzyma upragnioną od dawna Macedonję,—oraz Austrja, mająca nareszcie zyskać w ca-



Wystawa w Łodzi. Komitet wykonawczy z ramienia Resursy Rzemieślniczej.

łości, to, co jej przed 30-u laty obiecał traktat berliński: drogę do morza poza Mitrowicą. A droga ta we wskazanym przez traktat kierunku, wiedzie przez Nowy-Bazar i Saloniki. Piękny szmat ziemi.

Albanja przy tej sposobności ma otrzymać autonomję pod protektoratem włoskim.

W ten sposób podzielono — w projekcie Turcję europejską.

Ale i z azjatyckiej niewiele pozostało. Przedewszystkiem Niemcom ma dostać się olbrzymia kraina pomiędzy rzekami Eufratem i Tygrysem, zwana Międzyrzeczem, (Mezopotamią) a uważana przez długie wieki za kolebkę rodzaju ludzkiego. Tam były największe miasta, o jakich doszło do naszych czasów wspomnienie: Niniwa i Babilon. Tam zakwitła kultura, znana nam tylko z opisów, a tak wspaniała, że nawet dzisiejsza technika, do niebywałego stopnia udoskonalona, nie byłaby w stanie podobnej dokonać. Dzięki sztucznemu nawodnieniu, Mezopotamja była olbrzymim ogrodem. Nic dziwnego, że legenda tam pomieściła raj biblijny i miejsce pobytu prarodziców rodzaju ludzkiego.

Pod panowaniem Persów, Arabów, wreszcie Turków, przepiękna ta kraina w pustynię się zamieniła. Czy kiedyś, w przyszłości, odżyje?

Anglja z owego projektowanego podziału ma uzyskać Arabję. Wyspami na archipelagu Egejskim podzielą się Niemcy, Anglja, Włochy i Francja. Co do tej ostatniej, — niewiele jej się ma dostać w spadku po państwie Padyszacha. Ale twórcy projektu inną wymyślili kombinację: oto Niemcy, w zamian za nabytek tak olbrzymi i tak wartościowy, jakim jest Mezopotamja, mają zwrócić Francji Alzację—ale bez Lotaryngji.

A Turcja? Na razie nie zostanie jeszcze doszczętnie wymazaną z mapy. Pozostanie jej Azja Mniejsza, Syrja i Palestyna.

Naturalnie, — o ileby projekt podobny miał dojść do skutku, to o utworzeniu żydowskiej Palestyny nie mogłoby być już mowy. Z okrojonego torytorjum Turcja nie miałaby nic do ustąpienia.

Tak przedstawia się ta kombinacja, puszczona w świat przez pisma petersburskie. Dosyć nieprawdopodobna — to prawda. Ale żyjemy w czasach, gdy nieprawdopodobieństwa łatwo się w czyn zamieniają.

A może to tylko fantazja, na czas upałów wymyślona? Gdyby tak było, to przyznać trzeba, że pomysł wcale interesujący i doskonale może zastąpić sławnego ongi węża morskiego, który już się przestarzał i przestał ludzi zajmować.

Fantazją podobnież zdaje się być wieść, jakoby Rosja z całą stanowczością i pod groźbą represji wojennych, zażądała od Turcji natychmiastowego zawarcia pokoju z Włochami. Tego rodzaju „interwencja pokojowa", grożąca wojną, dotychczas nigdy i nigdzie nie była praktykowana i wąpliwem jest, czy mogłaby wejść w użycie.

W bajce tej, jak zresztą w każdej, jest coś niecoś prawdy. Turcja nie chce przyznać, że jest wyczerpaną zarówno wojną, jak i wypadkami wewnętrznemi. Nie ulega jednak wątpliwości, że chętnie pozbyłaby się kłopotów wojny, gdyby tylko z niej mogła wycofać się choćby tylko z pozorami honorowego załatwienia kwestji.

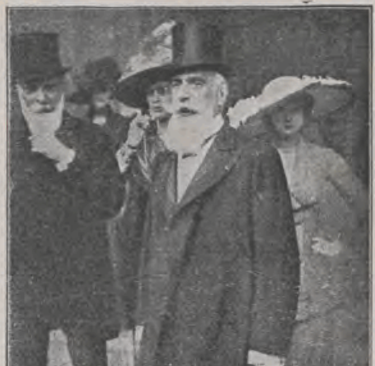
W takich warunkach interwencja Rosji byłaby może nawet pożądaną przez rząd turecki. Kto wie, czy pogłoski o wystąpieniu dyplomacji rosyjskiej nie pochodzą z Konstantynopola!



Tercet: dziewczynka, chłopiec i kanarek.

Związek naukowo-literacki im. Słowackiego w Stanisławowie nadsyła nam następującą odezwę:

„Konkurs na pracę naukową". Związek naukowo-literacki im. J. Słowackiego w Stanisławowie, który postawił sobie za cel podnosić i szerzyć kulturę polską w Stanisławowie, aby ożywić ruch naukowy w tem mieście, ogłasza niniejszem konkurs na pracę naukową objętości 3 – 12 arkuszy druku, formatu większej 8° z zakresu krytyki literackiej, estetyki, psychologii, historyi, nauk przyrodniczych, społecznych i t. p., tyczącą się zagadnień współczesnych a nadającą się tak ze względu na temat, jak i opracowanie do rozpowszechnienia. Za pracę uznaną przez sąd konkursowy (którego skład później będzie podany do publicznej wiadomości) jako najlepszą, wyznacza się nagrodę w kwocie 150 koron, z warunkiem, że wszelkie prawa własności do niej przywiązane, przechodzą na Związek naukowo-literacki im. J. Słowackiego w Stanisławowie. Pracę z godłem i nazwiskiem autora w kopercie, należy przysyłać do podpisanego Związku na ręce prof. Maryana Piątkiewicza w Stanisławowie ul. Kilińskiego I. 31 do dnia 1 listopada 1912. Nienagrodzone na konkurs prace zostaną autorom zwrócone.



Baron Rousseau, potomek Jana-Jakóba.

Redakcja i Administracja „ZŁOTEGO ROGU" przeniesione zostały na ul. Królewską № 27.

Telefony: Redakcji 226-83, Administracji 152-05.



Bagatela: Artyści teatrów warszawskich z wice-prezesem Hulewiczem na czele sprzedają programy.

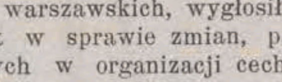
U ARTYSTÓW.

Serdecznym, młodym śmiechem rozbrzmiewał w ubiegłą niedzielę prześliczny ogródek Bagateli, gdy Stow. artystów teatrów Warszawskich urządziło tam zabawę na swą korzyść, zapraszając na część pierwszą naszych „milusińskich". Ci niewybredni, żądni rozrywki mali widzowie, tak się szczerze przejmowali wszystkiemi popisami estradowemi, iż z trudnością dawali się nakłonić do wyjścia, gdy już program części pierwszej się wyczerpał, a publiczność zaczęła napływać na część drugą. Nie było też końca oklaskom, które dłonie pięcio i sześcioletnich widzów darzyły p.p. Rapackiego, Małkowskiego, Krzewińskiego, Szellera, Ulanowskiego, chóry dziecięce, pod wodzą dyr. Szczygielskiego, wreszcie „bajkę taneczną", ułożoną wybornie przez p. Kuleszę. Po tym programie „dziecinnym" nastąpiła część druga dla dorosłych, którą urozmaicili p.p. Messalówna i Szczawiński duetem „Krok w krok", zawsze z przyjemnością słuchanym przez setki widzów. Nie siląc się tu zresztą na wyliczanie programu, coby zajęło zbyt wiele miejsca, zaznaczamy tylko, iż tłumnie zgromadzona publiczność powracała do domów zadowolona zupełnie, zachowując wspomnienie czarownej gry świateł, w tchnącym wonią ogródku Bagateli.

Echa Zjazdu.

Na pierwszym zjeździe szewców, jaki się niedawno odbył w Warszawie, p. Jan Kamieński, starszy zgromadzenia szewców warszawskich, wygłosił referat w sprawie zmian, pożądanych w organizacji cechów. Nie mogąc, ze względu na nawał spraw bieżących, przytoczyć tu referatu tego w całości, streszczamy na tem miejscu myśli przewodnie, w nim zawarte.

Wskazując na potrzebę przystosowywania się do coraz to nowych warunków życia, wnosi



Jan Kamieński
starszy zgromadzenia szewców.

p. Kamieński, by rzemieślnicy zdążali przedewszystkiem do kształcenia się umysłowego, przynajmniej w zakresie 2—4 klas szkół średnich, by nadto kształcili się zawodowo, tak, by nie ustępowali wykształceniem rzemieślnikom zagranicznym, wreszcie, by poszukiwali kredytu taniego a przystępnego zarówno w gotówce, jak i w towarze, nie zapominając przytem o zabezpieczaniu się na starość, jak i na wypadek kalectwa.

Autor referatu czerpie tu wzory z powstających wciąż coraz to nowych stowarzyszeń, które starają się gromadzić zawsze jaknajwiększą liczbę członków. Podobnie też wnosi p. Kamieński, by cechy, same nader liczne (w samej Warszawie jest ich 52), a liczące nieraz niewielu bardzo członków, łączyły się w jedną całość, przynajmniej co do „chorej puszki szpitalno-pogrzebowej", rządząc się zresztą pod innemi względami autonomicznie. Tym sposobem dałoby się stworzyć jedną wspólną kasę rzemieślniczą, organizację ze względu na ilość członków, zupełnie poważną, a przez to samo silną pod względem finansowym. Takie zjednoczone cechy, do których powinny, zdaniem twórcy referatu, należeć również i kobiety, równouprawnione z mężczyznami, — mogłyby posiadać sale zebrań,

tworzyć kursy zawodowe, odczyty i t. p. Od zreformowanej w ten sposób „puszki" wymaga pan K., by zapewniła członkom cechów możność czynienia oszczędności, posiłkowania się kredytem, otrzymywania wsparć na wypadek choroby, kalectwa, starości i t. p. Wreszcie dla uchronienia rzemieślników od dyskredytowania ich przez osobników, podszywających się pod ich miano, proponuje p. Kamieński, by przy wpisywaniu się do ksiąg meldunkowych żądano okazywania świadectw cechowych. Wszystkie te dezyderaty, którym niepodobna odmówić słuszności, a których wagę uzna każdy rzemieślnik, — przyjęte zostały przez zjazd szewców i przekazane komisjom, organizującym zjazdy następne. Nie wątpimy też, że inne cechy poruszą i rozważą u siebie słuszne wnioski p. Kamieńskiego.





Nowowybrani starsi Zgromadzenia cukierników: **Władysław Czerniawski**, starszy; **Antoni Blikle**, podstarszy.

ETERNIT.

Na wystawie Sportowo-przemysłowej jako interesujący eksponat zwraca ogólną uwagę materjał do krycia dachów p. n. „Eternit".

Częściami składowemi „Eternitu" są: cement i asbest.

Zalety „Eternitu" 1) **niezwykła trwałość**, 2) Nadzwyczajna lekkość; 3) Całkowita odporność na wszelkie wpływy atmosferyczne; 4) Zupełna ogniotrwałość; 5) Zupełna nieprzepuszczalność wody; 6) Absolutna gładkość powierzchni i jednakowa grubość oraz piękny, estetyczny wygląd. Zastosowanie Eternitu niezwykłe: w samej Austrji w roku 1911 „Eternitem" pokryto olbrzymią powierzchnię 7,000,000 metr. kwadr.

„Eternit" jest opatentowany we wszystkich cywilizowanych państwach świata. Prawo wyrobu „Eternitu" na Królestwo Polskie i Rosję zostało nabyte przez p.p. Stefana, Onufrego, Leona i Marję Rylskich.

Pierwsza w kraju fabryka buduje się w Lublinie i puszczona będzie w ruch już w r. b.



Milanówek: Nowy kościołek

Nowy kościół w Milanówku.

Tłumy ludu zaległy w ubiegłą niedzielę Milanówek, skupiając się przedewszystkiem na placu kościelnym, przed nowo wybudowanym kościołem. Zgromadziła je tam uroczystość poświęcenia nowego kościoła, którą rozpoczął ks. Trompeteler, odprawiwszy przedewszystkiem mszę św. w dawniejszej drewnianej kapliczce, poczem całe zebrane duchowieństwo, śpiewając litanję do Wszystkich Świętych, weszło do nowej świątyni, a delegowany przez konsystorz ks. Maciążkiewicz, poświęcił mury kościelne. Następnie rozpoczęło się uroczyste nabożeństwo, podczas którego potrójny kwartet „Lutni" wykonał mszę św., Gounoda, a nadto śpiewali „Pod krucyfiksem" Faura — artystka opery p. Rejewska i p. Kamiński. Uroczystość zakończona została kazaniem wygłoszonem przez ks. prefekta Popławskiego z umyślnie wzniesionego przed świątynią pomostu.

Zebrane w Milanówku tłumy ludu rozchodzić się zaczęły dopiero przed wieczorem, po nieszporach, pożegnane serdecznem słowem przez ks. Trompetelera.



Milanówek: Stary kościołek.

Pochodzenie niektórych mód.

Córki Ludwika IX, mając ogromne nogi, wymyśliły suknie z trenami.

Żona Filipa III, „dotknięta" nieproporcjonalnie długą szyją, wymarzyła szerokie wstęgi na szyję.

Niektórzy panowie z dworu Karola III, obrażeni niekształtnością biustu, ozdobili się fałszywemi ramionami.



Najnowsze ubrania głowy.

Piękna Ferronière, mając oparzenie akurat po środku czoła, umieściła na tej bliźnie klejnot na dwuch cieniutkich nitkach.

Księżniczki za panowania Henryka II, cierpiące na powiększenie podgardla, ukrywały je pod szerokiemi fryzami, zaś nadmierną ułustość ramion chowały w obszernych bufach rękawów.

Królowa Anna Austryjaczka, mając piękne ramiona, wprowadziła krótkie rękawki.

Ludwik XIV, dotknięty guzem na głowie, wprowadził peruki.

Pani de Pompadour, będąc bardzo maleńką, uznała za piękne—trzewiczki o wysokich obcasach.

Cesarzowa Józefina, nie zadowolona ze swoich nierównych zębów uczyniła modnem trzymanie koronkowej chusteczki nieustannie przy ustach.

Przeprowadzka—jedna z naszych bolączek.

Jedną z ważniejszych kwestji w życiu potocznem jest sprawa przeprowadzek, której każdy z nas od czasu do czasu podlega. Nie od rzeczy więc będzie zwrócić uwagę osób zainteresowanych, aby w wyborze firm, którym powierzają swoje, nieraz bardzo cenne, często pamiątkowe ruchomości byli ostrożni Powierzanie przeprowadzek przedsiębiorstwom drobnym, nie przedstawiającym dostatecznej gwarancji materjalnej może nas narazić na nieobliczalnestraty. Wrazie przeprowadzki powinniśmy się zwracać do znanych, solidnych firm, dającym nam zupełną rękojmię, że wywiążą się one dobrze Jednym z takich przedsiębiorstw poważnych, jest znany zakład przewozowy, egzystujący od 1884 r. pod firmą W. Zaborski i S-ka, gdzie interesanci załatwiani są szybko, bez żadnych uszkodzeń i strat ruchomości, a zarazem względnie tanio. W ostatnich czasach składy tej firmy do przechowywania ruchomości i towarów zostały znacznie powiększone.

Śmierć awiatorki.



Młoda i urocza awiatorka, miss Herriet Quimby zabiła się na miejscu, spadając z wysokości kilkudziesięciu metrów.

Humor

WESOŁKI WSCHODNIE.

KRAB I ŻABA.
(z japońskiego)

Żaba,
widząc w morzu kraba,
temi słowy go nagaba:
— Mógłbyś na brzeg wyleźć krabie,
by uczynić zadość żabie!
Krab zazwyczaj rady babie
wnet jej daje parę kleszczy,
aż ta wrzeszczy:
— — Fe nie ściągaj mi kimona
ode łba aż do ogona!

— — — — — — — — — — —

Od tej pory żadna żaba
nigdy kraba
nie nagaba.

EKSPRES-BEJ.
(z tureckiego)

Ożenił się Achmet-effendy,
Allach specjalne miał dlań względy,
bo po miesiącach ledwie dwóch
syn mu się już urodził zuch.
— Jak go nazwiemy?—pyta żona
oszołomiona, zawstydzona...,
— Niech ma na imię Ekspres-béj!
tak na to rzecze władca jej:
wszak odbył on w miesięcy dwa
podróż, co dziewięć zwykle trwa.

Remigjusz Kwiatkowski.



Artystyczne wyroby z blachy Zygmunta Aksta.

Wystawa Przemysłowo-Sportowa.

W chwili, kiedy numer niniejszy „Złotego Rogu“ dojdzie do rąk naszych czytelników, godziny wystawy przemysłowo-sportowej w pięknym parku Agrykola będą policzone. Wbrew początkowym zapowiedziom, komitet wystawy zmuszony był skrócić czas jej trwania. Powodem zaś tego było małe poparcie ze strony publiczności, której frekwencja stale się zmniejszała, szczególnie począwszy od pierwszych dni lipca. Smutny to objaw i z nim bądź, co bądź, powinni się liczyć przyszli organizatorzy wystaw, a szczególnie projektowanej za lat kilka Wielkiej Wystawy powszechnej krajowej.

Zawcześnie oczywiście, aby dziś móc sporządzić bilans tej pierwszej u nas Wystawy Sportowej, na ogół tylko możemy zaznaczyć, że poza nieuniknionemi w podobnych razach wadami i niedokładnościami, które zresztą w danym wypadku były minimalne, wystawa przedstawiała się przyzwoicie, a w pewnych działach nawet względnie imponująco. Udział firm pierwszorzędnych był spory; niektóre eksponaty zwracały uwagę, bądź znakomitością wyrobu, bądź nowością. Teren wystawy — jakby wymarzony, no i pogoda dopisywała.— a jednak pomimo tych wszystkich danych, wystawa nie cieszyła się takiem powodzeniem, na jakie zasługiwała. Na usprawiedliwienie w pewnym stopniu publiczności, mało odwiedzającej wystawę, należy zaznaczyć: utrudniony dostęp z powodu braku stałej komunikacji tramwajowej, zbyt wczesne zamykanie pawilonów oraz słabe oświetlenie terenu wystawowego.

Zanim podamy ostateczny bilans moralny i materjalny pierwszej wystawy przemysłowo-sportowej, postaramy się pobieżnie choćby rzucić wzrokiem na piękny teren wystawowy, który za kilka dni opustőszeje i wróci do swego zwykłego wyglądu — siedziby koła sportowego.

A więc w głównym pawilo-



Pawilon Tow. Akc. Fr, Karpiński.

nie zwraca ogólną uwagę wystawa firmy „Antoni Erlanger i S-ka“ w Moskwie, która wystawiła kilka maszyn do mielenia i czyszczenia ziarna. Firma ta, dobrze znana w całej Rosji i Królestwie Polskiem, podejmuje się również budowy całych młynów najnowszych konstrukcji, które, między innemi, odznaczają się absolutną ogniotrwałością. Bardzo ciekawemi i znamiennemi są dane statystyczne, opracowane przez tę firmę; z danych tych wynika, że w ciągu roku zmielono na młynach firmy „Erlanger“ 356 miljonów pudów pszenicy, podczas gdy na młynach, zbudowanych przez wszystkie inne firmy, zmielono razem 254 miljony pudów. Cyfry te świadczą najlepiej o zaletach i wysokiej wartości młynów, budowanych przez tę firmę. Dodać należy, że jednym z największych działów firmy „Erlanger“ stanowią silniki, wprowadzające w ruch młyny.

W tymże pawilonie powszechnie ceniona firma „Krzysztof Brun i Syn“ wystawiła bardzo estetyczne i piękne urządzenie biurowe, wyrobu amerykańskiej fimy Tow. J. Block, oraz ciekawą i praktyczną maszynę „Rotograf“ do kopjowania listów, pisanych na maszynie lub ręcznie w ilości do 5000 egz.; druga wystawa tej firmy znajduje się w pawilonie „Sport i Myśliwstwo“, gdzie widzimy mnóstwo przyborów sportowych, jak: wędki, łyżwy, wrotki, hantle i t. p.

Dalej, w głównym



Artystyczne wyroby z blachy Zygmunta Aksta.



Pawilon firmy Alfred Grodzki.

pawilonie zwraca uwagę gablotka z wyrobami dr. prof. N. Cybulskiego, są to: Eliksir, Pasta i proszek do zębów p. n. „Tlenol“; odznaczają się one znakomitem działaniem, przyjemnym smakiem i nie wywołują żadnych ubocznych, niepo żądanych objawów.

W pobliżu „Tlenolu“ znajduje się efektowny i niezwykle pomysłowy pawilon młodej, a tak już cenionej fabryki wyrobów tytoniowych „Union“ p.p. Kołodziejskiego i Filipowskiego, którzy wstępnym bojem pozyskali uznanie szerokich mas palaczów. Światowa firma B-ci Nobel, urządziła bardzo elegancki pawilon, w którym wystawiła najświeższy produkt „Kryształ“. Jest to nafta tak znakomicie oczyszczona, że robi wrażenie czystej wody; zaletą „Kryształu“ jest jego taniość względna i absolutny brak odoru nieprzyjemnego, jaki wydziela zwykła nafta.

W tymże pawilonie zwraca ogólną uwagę samochód towarowy powszechnie znanej apteki i laboratorjum chemicznego M. Malinowskiego, którego wyroby jak: mydła przetłuszczone, krem ogórkowy, perfumerja i t. d. oddawna zjednały sobie rozgłos znakomitych i wysoce hygienicznych wyrobów w dziedzinie kosmetyki. Pudło samochodu



Kiosk fabryki „Union“ Kołodziejskiego i Filipowskiego.

jest bardzo ładnie urządzone w środku, mianowicie ściany i sufit są z luster. Na tafli lustrzanej widać pływające łabędzie wśród których rozrzucono fantazyjnie wszystkie gatunki mydeł, wyrabianych przez laboratorjum M. Malinowskiego.

Z własnych pawilonów odznaczają się: pawilon firmy J. Rokicki i S-ka, znanej fabryki przyborów podróżnych i sportowych. Wśród eksponatów zwracają uwagę różnego rodzaju obuwia sportowe do polowania, lawn-tennisu, fool-balu i t. d., dalej pawilon fabryki cukrów Stanisława Pruszkowskiego, której karmelki, marmelady, biszkopty i chałwa już dawno zjednały sobie zasłużone uznanie. W niewielkim, ale gustownym pawiloniku firma St. Sor[illegible]kiewicza wystawiła swego własnego wyrobu tektury smołowcowe, izolacyjne, bitumiczne, asfalt, smołę gazową,—nieustępujące zupełnie takimże wyrobom zagranicznym. Wreszcie u bocznego wejścia do pawilonu „Sport i myśliwstwo“ zwracają powszechną uwagę pełne artyzmu i doskonałości wykończenia, dwie grupy z bronzu, wykonane w znanych chlubnie w kraju zakładach artystyczno-blacharskich Zygmunta Aksta i S-ka. Reprodukcje tych grup podajemy w numerze dzisiejszym.

S. C



W menażerji: Lew przed operacją.



W menażerji: Chwila rwania zęba.

Lew u dentysty.

Ból zębów jest cierpieniem, które trapi nie tylko ród człowieczy. Dzikie zwierzęta, będące na wolności również cierpią na próchnienie zębów i na zapalenie okostnej. Wiedzą o tem myśliwi.

Zmiana trybu życia dzikich mieszkańców puszczy, zamkniętych w klatce, czyni ich skłonniejszemi do zapadania na „fluksję“, często nieuleczalną. Znany jest wypadek z olbrzymim słoniem cyrku Barnuma. Pod wpływem bólu zębów słoń zabił człowieka, który go od dwunastu lat obsługiwał. Pragnąc uniknąć zabicia pysznego, niezwykle kosztownego zwierza, właściciel uprosił słynnego dentystę w Chicago, aby ten wyrwał ząb słoniowi. Pod wpływem chloroformu czworonogi i jednotrąby pacjent zasnął, ale się obudził przed końcem operacji i obudził się tak oszalały, że trzeba mu było niezwłocznie wpakować w łeb eksplodującą kulę.

Od dwuch tygodni w White City, lew imieniem „Brutus“, napełniał menażerję dzień i noc groźnym rykiem — z powodu bólu zęba. W jaki sposób pewien londyński dentysta wyrwał chory ząb królowi zwierząt, mówią załączone fotografje.

Odpowiedzi Redakcji

W.P. Czudowskiemu w Łomży. Opóźnienie w przesłaniu W.P. nagrody za rozwiązanie rebusu, nastąpiło z powodu wyczerpania, na razie nakładu. Wczoraj wysłaliśmy już W. Panu dwa tomy poezji Gustawa Zielińskiego.

W. P. Ludwikowi Massalskiemu w Oblasie. Pieniądze otrzymaliśmy. „Posiew“, „Kurjer Polski“ i „Dobra gospodyni“ zaprenumerowane.

W. P. Dekowskiemu w Sulmierzycach. „Bluszcz“ opłacony, co do reszty postąpiliśmy zgodnie z żądaniem Sz. Pana.

W. P. Jędrzejewskiemu w Dąbrowie Górniczej. Odebraliśmy, dziękujemy serdecznie, ale to... nie te same. — Szczegóły listownie, — tymczasem polecamy się życzliwej pamięci Sz. Pana.

WARUNKI PRENUMERATY:

	rocznie	półr.	kwart.	
W Warszawie z odnoszeniem do domu	rb. 4.—	rb. 2.—	rb. 1.—	Numer pojed. kop. 10,
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ 4.60	„ 2.30	„ 1.15	halerzy 25.
Za granicą i za oceanem	„ 5.—	„ 2.50	„ 1.25	
W Austrji i Galicji	„ 12 kor. 50 h.	„ 6 kor. 50 h.	„ 3 kor. 30 h.	Zmiana adresu—20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: **Na 2 str. okładki,** przed tekstem (wiersz petitowy) 40 kop. **Nadesłane,** w tekście—75 kop. **Reklamy**—40 kop. **Ogłoszenia** na kolumnach bez tekstu i na 3 str. okładki 20 kop. **Na 4 str. okładki**—30 kop.

Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 9 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień“.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.“ Redaktor **Feliks Kwaśniewski.** Kierownik liter. **Wacław Grubiński.**

Klisze wykonał zakład R. SAWICKIEGO, Wspólna 45. Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17